

**„Zdałem sobie sprawę, że już opuszczam Polskę na zawsze
i się rozplakałem...”**

Adam Witko – urodził się w województwie śląskim w Chorzowie w 1936 roku. Po wybuchu II wojny światowej wraz z mamą, chroniąc się przed wywózką na Syberię dotarł na Podkarpacie, a następnie na Śląsk. Chcąc przedostać się do Włoch, by spotkać swego ojca, jako 10-letnie dziecko trafił wraz z mamą do Niemiec, skąd został deportowany do więzienia w Czechach. Po ucieczce od Amerykanów przez Austrię przedostał się do Włoch. Podróż zakończyła się szczęśliwym spotkaniem z ojcem, a po krótkim pobycie na ziemi włoskiej, wyjazdem poprzez Francję do Anglii, gdzie mieszka do dziś.

Nazywam się Adam Witko, pochodzę z Podola z województwa tarnopolskiego. Urodziłem się w 1936 roku w Chorzowie, mieszkałem w Bolszowie w małym miasteczku, którego społeczność składała się z Żydów - 50%, Ukraińców - 25% i Polaków - 25%. Mieszkałem w bardzo dużym domu na ulicy Perackiego nr 5, ale niewiele pamiętam z tego czasu. Mieszkaliśmy tam do 1940 roku. Nie miałem rodzeństwa.

Kiedy wybuchła wojna, ojciec został powołany do wojska i przeszedł wraz z armią na Węgry, był oficerem. Gdyby nie został powołany do wojska, zabraliby go Bolszewicy i zginąłby w Katyniu. Z matką pozostaliśmy pod okupacją sowiecką i groziła nam wywózka na Sybir. Byliśmy ostrzeżeni o tym. Mama zdecydowała się uciec przez Lwów. Przeszliśmy ze strony sowieckiej na stronę niemiecką w Przemyślu w czerwcu 1940 roku, tuż przed następną wywózką Polaków na Sybir. Potem mieszkaliśmy na Podkarpaciu w Lipowicy, obecnie to przedmieście Przemyśla. Mieszkaliśmy też w miejscowości Markowa koło Łańcuta. Moja mama знаła pewnego Ukraińca z moich stron, on nam pomógł, zawiadomił nas, że wujek, który był mężem siostry mojej matki, został wójtem i przeprowadziliśmy się tam. Mieszkaliśmy na Podkarpaciu przez kilka lat. Markowa bardzo mi się podobała, przyzwyczałem się do niej...



Kilkuletni Adam Witko z mamą

Czy w tym czasie chodził Pan do szkoły?

Tak, kiedy miałem 6 lat, mama posłała mnie do szkoły podstawowej, która funkcjonowała też w czasie wojny. Zacząłem pierwszą klasę. Wówczas jeszcze w wiosce żyli Żydzi. Niemcy chcieli, by wujek, który jak wspominałem, był wójtem Markowej, współpracował z nimi co do wywózki Żydów, ale wujek nie zgodził się na to, zrezygnował z pracy. Po wojnie chodziłem do szkoły w Rybniku, krótko w roku 1945/1946. Po zakończeniu wojny i ustaleniu nowych granic państwowych, babcia ze strony ojca w wyniku ewakuacji została przesiedlona na Śląsk i zamieszkała w Rybniku. Mieszkała z nami. Kiedy my uciekliśmy do Anglii, ona tam została.

Potem mieszkaliśmy w Jaśle, a następnie koło Nowego Sącza w wiosce Pótrzcзки. Byliśmy z ciotką i wujkiem. Kiedy skończyły się pieniądze, ofiarowaliśmy gospodarzom, w zamian za pomoc, odzież, cenne rzeczy, które zabraliśmy z domu. Jako że nie mieliśmy już pieniędzy, mama handlowała na czarnym rynku w Krakowie cennymi przedmiotami i w ten sposób poradziłyśmy sobie.

Wówczas nie mieliśmy żadnego kontaktu z ojcem, który uciekł na Węgry, stamtąd do Jugosławii, a z Jugosławii do Syrii, gdzie wstąpił do Karpackiej Brygady Wojska Polskiego. Potem był w Iraku i w Egipcie, ale my o tym nic nie wiedzieliśmy. Dostaliśmy od ojca z Egiptu wiadomość, że wszystko z nim jest w porządku.

Jak potoczyły się Wasze losy po wojnie?

Ojciec za pośrednictwem zaufanej osoby przesłał kwotę pieniędzy i poprosił mamę, żeby starała się uciec do Włoch. Mama zdecydowała się uciec z komunistycznej Polski. Do dnia dzisiejszego pamiętam ten dzień. Kiedy przechodziłem granicę koło Cieszyna na Zaolziu, to zdałem sobie sprawę, że już opuszczam Polskę na zawsze.... i się rozplakałem. I do tej pory szczerze żałuję, że Polskę opuściłem. Granicę przekroczyliśmy nielegalnie. Byliśmy umówieni z rodziną mojej ciotki, która była Czeszką. Doszliśmy do domu jej rodziny na Zaolziu, gdzie zamieszkaliśmy przez tydzień. Następnie pewien człowiek przeprowadził nas przez Czechy do Niemiec. Potem pojechaliśmy do

Pragi, nie wiem, czy byliśmy w Brnie, ale dotarliśmy w Sudety do Karlowych Warów, zatrzymaliśmy się u gospodarza, Czecha, który nas przyjął. Mama prosiła, by przeprowadził nas przez granicę, powiedział, że absolutnie nie i że musimy to sami zrobić. Mama pytała, jak to zrobić? Spotkała pewną Niemkę, która obiecała, że nas przeprowadzi. Mama nie знаła języka niemieckiego. Gospodarz podwiózł nas do lasu w okolicy granicy z Niemcami, gdzie czekała na nas wspomniana kobieta i przeprowadziła nas przez ciemny, duży las. Byłem dzieckiem, zbierałem wtedy borówki... nie zdawałem sobie do końca sprawy z tego, co się dzieje. Był to 1946 rok, miałem wówczas 10 lat. Kiedy doszliśmy do granicy, nie było jeszcze tej „żelaznej kurtyny”, ostatnia szansa na ucieczkę, nie było straży, tylko słupy graniczne. Kiedy przeszliśmy na niemiecką stronę, zobaczyliśmy pole po żniwach, stały na nim snopy ze zbożem, mama się ucieszyła, że jesteśmy wolni, doszliśmy do celu. Nagle pojawił się Niemiec, który zaprowadził nas do posterunku wojska amerykańskiego, niestety Amerykanie wsadzili nas do samochodu i zawieźli do więzienia. Amerykanie byli po stronie Rosjan... i wszystkich, którzy uciekali, mieli odsyłać z powrotem do Bolszewików. Od tej pory mam złą opinię o Amerykanach i o Anglikach też. Nie wierzę im...

I tak znaleźliśmy się w więzieniu w Hof.

Jakie są Pana wspomnienia z pobytu w więzieniu? W jaki sposób udało się Wam stamtąd wydostać i gdzie dotarliście?

Byłem w jednej celi z różnymi osobami, nudziłem się tam bardzo. Po tygodniu załadowano nas na ciężarówkę i z powrotem wywieziono do Czech do Cheb do więzienia. Tam powiedziano nam, że nie zostaniemy przyjęci, gdyż mają za dużo więźniów i znów odwieziono nas do Niemiec, znów do tego samego więzienia. Mama się zezłościła i zażądała widzenia z amerykańskim komendantem. Wytłumaczyła mu, że ojciec jest w Italii. On powiedział, że granicę przekroczyliśmy nielegalnie i musi nas z powrotem odesłać do Polski, ale nie będzie nas trzymał w więzieniu, tylko zdecydował, że otrzymamy pokój w

hotelu. Czekaliśmy, że znów zostaniemy odesłani do Czech. W tym czasie odwiedzało nas wielu ludzi. Przyszedł pewien mężczyzna i zaproponował nam ucieczkę od Amerykanów. Trzeba było zapłacić 50 dolarów. Człowiek ten zaproponował, żebyśmy zostawili wszystkie nasze rzeczy i spotkali się z nim przed hotelem. Tak się stało, spotkaliśmy się z nim, a on zaprowadził nas do znajomej Niemki. Następnie kupił nam bilet na pociąg do Norymbergii, pamiętam, że tam nie było ani jednego stojącego w całości domu, wszystko w gruzach, bardzo zniszczone przez aliantów. Długo szliśmy do domu, pod wskazany adres do organizacji, która szmuglowała Polaków do Włoch, prowadzili ją Polacy. W domu w Norymberdze zostaliśmy przyjęci i mieszkaliśmy tam przez kilka tygodni. Jedliśmy suchary, było nieprzyjemnie, spaliśmy na piętrowych łóżkach wraz z innymi, oczekującymi ludźmi. Po dwóch tygodniach załadowano nas na ciężarówkę i przyjechaliśmy w okolice Monachium, a następnie zostaliśmy przewiezieni do Austrii, do pięknej miejscowości Zell am See. Czekaliśmy na transport, który wzięłby nas na granicę włoską z całą grupą. Mama spotkała oficera z II Korpusu i zapytała go, czy by nas zabrał, żebyśmy nie musieli czekać. Zgodził się. Jechaliśmy łazikiem przez góry i dotarliśmy do granicy włoskiej, a następnie do obozu polskiego koło Wenecji. Tam stacjonowała 5 Dywizja Kresowa. I stamtąd zabrano nas samochodem do Ankony, w pobliżu której stacjonowała 3 Dywizja Strzelców Karpackich. Dotarliśmy do Ancony i spotkaliśmy się z ojcem. Ja nie wiedziałem, jak tato wygląda. Mama powiedziała: „To jest twój ojciec”. Nie wiedziałem, co powiedzieć ani się nie ucieszyłem, ani się nie bałem. Nie miałem żadnego uczucia, bo taty nie znałem, nie miałem z nim żadnego kontaktu, nie czułem braku ojca w Polsce, mama bardzo dobrze się mną zajmowała.



Adam Witko z mamą na plaży we Włoszech



Z mamą...

Ojciec stacjonował w miejscowości Ascoli Piceno, postarał się o zakwaterowanie dla nas i mama wraz ze mną również tam zamieszkała. We Włoszech byliśmy bardzo krótko, około miesiąca. Był to 1946 rok. Kończyła się okupacja, wycofywano wszystkie wojska, także Polaków. Najpierw wysyłano rodziny wojskowe do Anglii, jeszcze przed likwidacją obozów wojskowych. Pociągiem przyjechaliśmy do Calais, potem promem dotarliśmy do Dover, a następnie do obozu. Ja nigdzie nie chciałem jechać, chciałem wracać do Polski.

Kiedy przybyliśmy do Anglii, byłem bardzo zagubiony, nie znałem języka, ani słowa po angielsku, nie mogłem się porozumieć.

Trafiliśmy do obozu wojskowego Horsham i stamtąd ktoś przeprowadził nas do obozu wojskowego, gdzie stacjonowała jednostka ojca w West Tofts, w okolicach którego są największe lasy w Anglii. Przypominam sobie, że była duża plaga królików, wszędzie było ich pełno.

Rodzice nie mieli żadnych planów, gdyż sytuacja była niestabilna. Polacy myśleli, że zacznie się wojna z Rosją i wrócą do Polski, ale tak się nie stało. Rodzice posłali mnie do internatu w Północnej Walii, abym nauczył się języka angielskiego. Byłem tam bardzo samotny, nie spotkałem żadnych polskich dzieci, było mi bardzo trudno, miałem 10 lat..., mieszkałem w internacie, a rodzice gdzie indziej. W pokoju mieszkało nas 15, czułem się bardzo źle, nikt nie mówił po polsku, nie miałem nic wspólnego z chłopcami mieszkającymi w internacie, gdyż nie mogłem z nimi rozmawiać. Chodziłem samotnie po okolicach i marzyłem o Polsce. Najpierw tęskniłem za rodzicami, a potem przyzwyczałem się do samotności. Byłem tam około pół roku. Następnie ojciec przeniósł się do innego obozu w Buckinghamshire i został tam kwatermistrzem. Zabrał mnie ze szkoły z Walii i zamieszkałem w kolejnym baraku obozowym, jak inni.



Adam Witko w obozie Woodlands Park na terenie Wielkiej Brytanii

Następnie tato wysłał mnie do internatu w Prestwood, gdzie byłem dwa lata. Tam dopiero nauczyłem się dobrze języka angielskiego. Po tym czasie, w 1949 roku, kiedy likwidowano obozy, rodzice przenieśli się do Harrow w Londynie i zapisali mnie do szkoły katolickiej. Uczęszczałem do niej przez kilka dobrych lat, zdałem małą i dużą maturę.

Mieliśmy kłopot z wynajęciem mieszkania. Nie byliśmy mile widziani przez Anglików. Oni byli zdania, że skoro Polska odzyskała niepodległość, to trzeba do Polski wracać i pytali, co my tu robimy. Pojawiały się napisy: „Polacy, wracajcie do domu!” Nastawienie do nas było wrogie. Jeśli chodzi o wynajem mieszkania, był kłopot, bo gdziekolwiek rodzice zapukali, to Anglicy odpowiadali: „Tak, mamy mieszkanie, ale nie dla cudzoziemców!” Anglicy są największymi rasistami na świecie, mieszkam tu prawie całe życie...



Wśród dzieci w angielskim obozie. Adam Witko w środku pomiędzy kolegami



Dzień I Komunii Świętej w obozie Woodlands Park, Wielka Brytania 1948 r.

A jednak udało się wynająć mieszkanie?

Rodzice spotkali się z Rosjanką, która do Anglii uciekła po rewolucji, nazywała się Makarowa i ona nas przyjęła. Zamieszkaliśmy u Makarowej w Edgware. Po pewnym czasie rodzice kupili dom w Harrow za 1000 funtów (wówczas funty miały inną wartość).

A jeśli chodzi o pracę?

To znów był kłopot, ponieważ Anglicy uważali, że Polacy są analfabetami, nie mają wykształcenia, przyjęli ich do fabryk. Rodzice, oboje skończyli Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie. Niestety, to w niczym nie pomogło im w Anglii... Ojciec najpierw pracował w hotelu, a potem w fabryce na Wembley, mama również pracowała w fabryce.

Warunki życia były bardzo kiepskie. Do 1954 roku w Wielkiej Brytanii obowiązywało racjonowanie żywności i nie można było kupić wszystkiego w dowolnych ilościach. Żywność była na kartki. Żyło nam się bardzo ciężko, rodzice zarabiali słabo, nie mieliśmy żadnych zapomóg, jak teraz mają niektórzy uciekinierzy polityczni. Kiedyś mama mówiła, że przyjedziemy do Anglii, tu będziemy mieć wszystko, a okazało się, że było odwrotnie. Bardzo żałowałem, że tu „wylądowałem” i do dzisiaj żałuję...



W ogrodzie...

A dlaczego Pan żałuje?

Dlatego że całe życie mieszkam na obczyźnie, obczyzna mi nie odpowiada! Ci ludzie mi nie odpowiadają, krajobraz może, ale ludzie nie!

Co nie podoba się Panu w ludziach?

Że oni nie czują, tak jak ja czuję! Ja wiem, co oni mówią, ale nie wiem co oni czują! Mi tu nic nie odpowiada, ale muszę tu być...

Proszę opowiedzieć o Pana nauce i pracy w Wielkiej Brytanii?

Dostałem się na studia w Londynie, studiowałem prawo. Skończyłem je, ale dalej nie poszedłem w tym kierunku i nigdy nie pracowałem w swoim zawodzie. Najpierw pracowałem w biurze angielskim związanym z udzielaniem kredytów na zakup domów. Nie byłem zadowolony z tej pracy, gdyż nie dawała mi satysfakcji. Ktoś doradził mi, żeby starać się o pracę w Ministerstwie Obrony. Choć początkowo nie wierzyłem, że mógłbym tam być przyjęty, gdyż nie jestem Brytyjczykiem, to jednak złożyłem podanie o pracę i zostałem zatrudniony. Pracowałem dla państwa brytyjskiego jako urzędnik Civil Servant. Chciałbym podziękować angielskiemu Ministry of Defense, że przyjęło mnie do pracy, byłem w niej bardzo szczęśliwy. Pracowałem w polskiej sekcji, gdzie znajdował się rejestr wszystkich Polaków, którzy podczas wojny służyli w wojsku polskim pod dowództwem brytyjskim. Każdy ma swoją kartotekę, oficerowie większą, w kartotekach jest też opis rodzin. Cała dokumentacja sporządzona jest w języku polskim. Moja praca polegała na wydawaniu zaświadczeń weteranom wojennym lub ich rodzinom. Dostawałem szereg próśb od Polaków z całego świata, w rejestrze szukałem dokumentów i wydawałem zaświadczenia do Kanady, Australii, Argentyny, USA i najczęściej do Polski. Zdarzało się również tak, że ludzie przyjeżdżali osobiście ze Szkocji i któregoś razu z Kanady, by takie zaświadczenie odebrać. Do moich obowiązków należało też sprawdzanie i zabezpieczanie różnych przedmiotów osobistych, które zostały po poległych, np. zegarków, naszyjników, pierścionków. Jeśli zgłaszała się rodzina, można było te przedmioty odebrać, jeśli nie, odsyłano je do krewnych.

Teren mojej pracy znajdował się w pobliżu lotniska Heathrow w Londynie, otoczony był drutem kolczastym i nie można było wejść bez pozwolenia. Człowiek, któremu podlegałem w pracy, nie mógł mnie bardzo nadzorować, bo nie znał języka polskiego, nie musiałem być krytykowany (śmiech...), nie lubię miejsc, gdzie jest duża dyscyplina, wolę pracować na własną rękę, bez kontroli. Archiwum to

istnieje do dziś, ale zostało przeniesione na lotnisko Northolt, skąd wystartowała eskadra 303.

Czy rodzicom udało się jeszcze odwiedzić Polskę?

Ojciec zmarł dość szybko na zawał serca, nie miał okazji odwiedzić Polski, zmarł w 1968 roku. Mama pojechała do Polski jeden raz wraz ze mną. Po raz pierwszy od czasu wojny pojechałem do Polski w 1964 roku, ale musiałem się zrzec obywatelstwa. Chciałem pojechać w te okolice, które najbardziej mi się podobają, na południe Polski. Wylądowałem w Warszawie, ale tam się źle czułem. Pojechałem do Dobrej koło Limanowej i później do wioski, gdzie spędziłem czas wojenny.



Nad Morskim Okiem. Adam Witko – pierwszy z lewej strony, mama pana Adama – druga z prawej strony

Jakie wrażenie na Panu zrobiła Polska?

Bardzo się cieszyłem, że byłem w Polsce, ale nie chciałem być w mieście, zaraz na wieś pojechałem.

Któregoś razu w 2007 roku wraz z moim synem wybrałem się na Ukrainę w rodzinne strony, chciałem odnaleźć dom rodziców. Przez jakiś czas byliśmy we Lwowie, potem pojechaliśmy w okolice Bolszowa. Niestety nie mogłem odnaleźć domu moich rodziców, nie czułem się tam dobrze...

A życie prywatne jak się Panu w Anglii ułożyło?

Ożeniłem się z Polką, nie chciałem z cudzoziemką, to nie byłoby dla mnie. Jeśli nie miałbym domu polskiego, kuchni polskiej no i religii katolickiej, to co to byłoby za życie...

Żonę poznałem na zabawie tu w Anglii, ona była w odwiedzinach u swojej ciotki. Poznałem ją w maju i ożeniłem się w lipcu (śmiech...). Ślub mieliśmy na Ealing. Żona pochodzi ze Śląska. Ja Śląska nie lubię, bo kiedy chodziłem tam po wojnie do szkoły, byłem traktowany jak cudzoziemiec. Uczniowie nie chcieli mieć ze mną kontaktu, nie chcieli rozmawiać. Wolę wschodnią Polskę. Z Polski nie chciałem wyjeżdżać, ale byłem szczęśliwy, że wyjeżdżam z Rybnika. Mam jednego syna i dwie córki. Wszystkie dzieci uczęszczały do polskiej szkoły i bardzo dobrze mówią po polsku. Syn od czasu do czasu jeździ do Polski, córki były parę razy. Dzieci zostały wychowane w środowisku angielskim i do końca nigdy prawdziwymi Polakami nie będą. Człowiek tutaj, nawet ja, mimo, że się mocno bronię, trochę zangielszczałem (śmiech...). Moje dzieci dobrze mówią i piszą po polsku, ale mają angielskie myślenie. W mojej opinii dzieci urodzone i wychowane tutaj nie mogą być prawdziwymi Polakami, to jest kwestia mentalności.

Sobotnie szkoły polskie i harcerstwo to bardzo dobry pomysł, ale to z dzieci nie zrobi Polaków, to jest zabawa, przypomnienie o polskości. Uważam, że żeby być prawdziwym Polakiem, trzeba wychowywać się w Polsce. Polska parafia i szkoła to mała wysepka

w angielskim społeczeństwie, ale gdyby jej nie było, to ja bym nie wytrzymał (śmiech...). Niektórzy wchodzą w angielskie środowisko na całego, nie wiem, jak im się to udaje, ja tego nie potrafię, dla mnie to jest wykluczone! Nie mam bliższych relacji z Anglikami, oni wszyscy są bardzo grzeczni, ale nieserdeczni. Ze sobą też nie mają bliskich relacji, są raczej zdystansowani, jeśli chodzi o osoby z poza kręgu rodzinnego. Miałem i mam z nimi tylko urzędowe, formalne relacje, a bliższe więzi, bardziej przyjacielskie mam z Polakami.



Dzień ślubu w londyńskim kościele na Ealing, 1975 r.

Czy Pana rodzice mieli propozycję wyjazdu do innego kraju?

Tak, były dwie propozycje. Ojciec jako żołnierz w Brygady Karpackiej, brał udział w bitwie pod Tobrukiem, był oblężony przez Niemców i tam Polacy zastąpili Australijczyków. Tato miał dobre kontakty z nimi. Zaraz po wojnie Australijczycy zaproponowali Polakom, że mogą wyjechać do Australii, ale pod warunkiem, że podejmą pracę przy budowie tamy na Tasmanii przez rok. Ojciec na to się nie zgodził i do Australii nie pojechaliśmy. Potem była propozycja wyjazdu do Argentyny, gdzie pojechał kolega mojego ojca wraz z żoną.

Korespondowali i zachęcał ojca, by tam przyjechać. Tato doszedł do wniosku, że Argentyna to niepewny kraj w sensie, że nie ma opieki społecznej i do Argentyny nie pojechaliśmy, zostaliśmy w Anglii...





Adam Witko przed „Ogniskiem Polskim” w Londynie przy ulicy Exhibition Road 55, Kensington

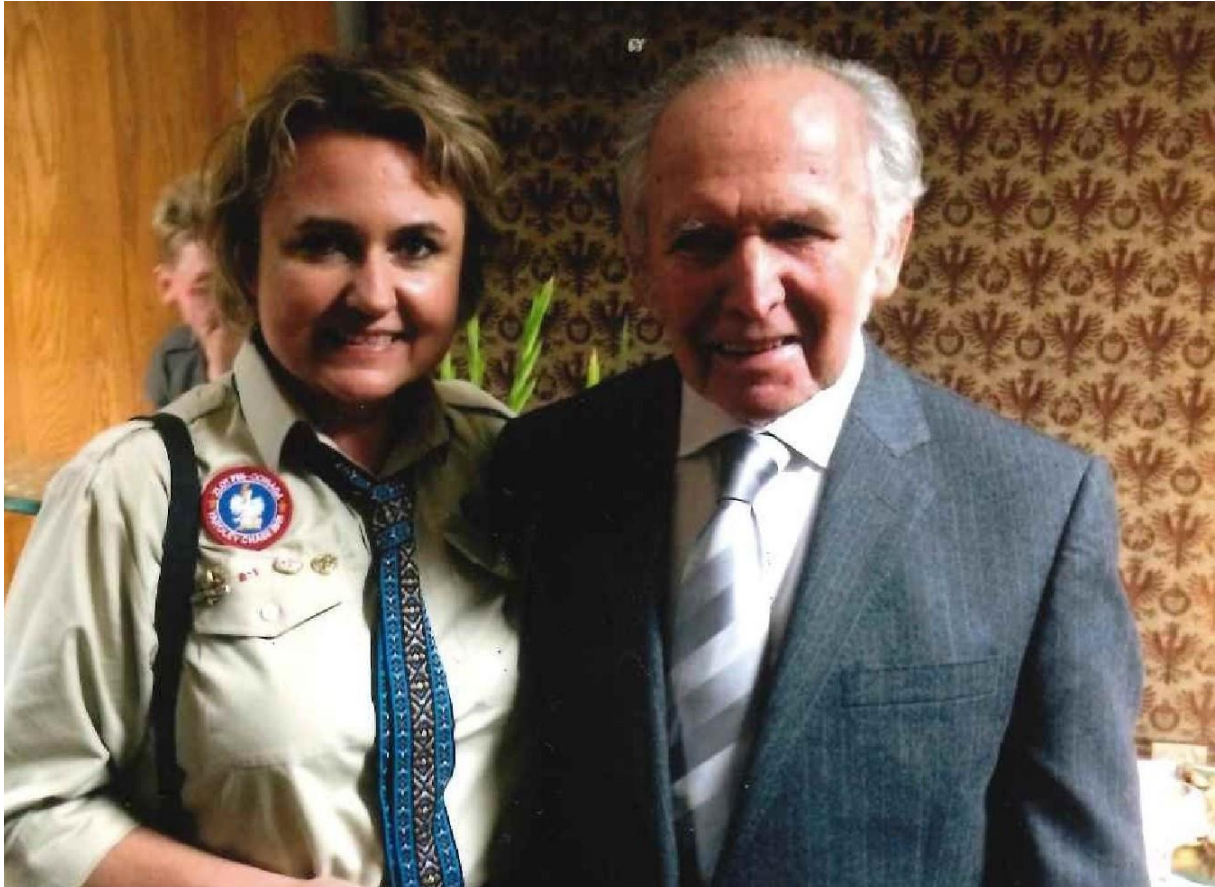


W gronie rodzinnym. Adam Witko pierwszy z prawej strony.

Jak w Wielkiej Brytanii starsza Polonia współpracuje z młodszą?

W ogóle nie współpracuje, to zupełnie dwa inne światy! Powodem tej sytuacji jest kwestia mentalności. Ludzie, którzy przybyli tu bezpośrednio po II wojnie, są zdruzgotani tym, że nie mogli wrócić do kraju i nikt się w stu procentach do Anglii nie przyzwyczaił, bo nie jest to możliwe, by starsi się przyzwyczaili, nawet ja się nie przyzwyczaiłem, a co dopiero oni! Z powodu bariery językowej było im trudno, nigdy dobrze nie nauczyli się języka.

Młodzi, którzy przyjeżdżają, są bardzo często zaradnymi i inteligentnymi ludźmi, przed którymi nie ma żadnych przeszkód. W porównaniu, kiedy ja przyjechałem, była przeszkoda za przeszkodą. Oni mają inny start... Nie wiedzą, jak Anglia wyglądała po wojnie i chwala Bogu, że tego nie wiedzą (śmiech...).



Adam Witko na spotkaniu harcerzy.

A życie polonijne jak wyglądało?

Jeśli chodzi o powstanie parafii ludzie organizowali się bardzo. Polacy mają tę cechę, że zawsze się kłócą, jeden jest mądrzejszy od drugiego. Nigdy nie było kompletnej zgody, ale parafia powstała i to jest najważniejsze. Jak już wspominałem, Polacy założyli też szkoły i kluby, nawet kluby sportowe.

Ja należałem do koła Kombatantów i uczęszczałem na spotkania w POSKU, raz na kilka miesięcy mieliśmy spotkania towarzyskie oraz opłatkowe.

Gdybym miał możliwość wyboru, zostałbym w Polsce, żona się tu przyzwyczaiła, ale ona dotarła tu w inny sposób i chciała tu zostać, a ja musiałem. Gdyby była po wojnie możliwość powrotu do Polski, to bym wrócił....



Na polonijnym spotkaniu w Londynie. Adam Witko w granatowej kurtce i szaliku w centrum zdjęcia

Dziękuję za rozmowę.

siostra Halina Pieróżak
Misjonarka Chrystusa Króla
dla Polonii Zagranicznej
02.11.2020r.

Pan Adam Witko wyraził zgodę na opublikowanie ww. wywiadu.

